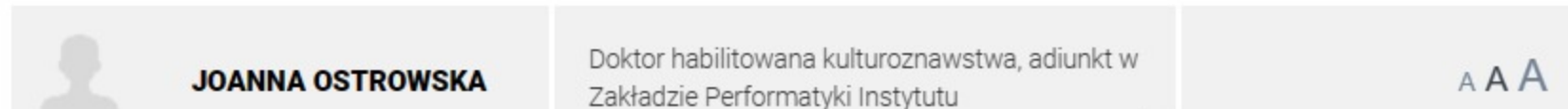


## Big Spender Willkommen

Extravaganza o miłości, reż. Joanna Drozda, Teatr Polski w Poznaniu



JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu



Fot. Piotr Bedziński

**Lech Raczak jest kolekcjonerem snów. Po ostatniej wizycie w Teatrze Polskim w Poznaniu na *Extravaganzy o miłości* w reżyserii Joanny Drozd muszę z lekkim strachem przyznać, że jest także człowiekiem, któremu jakiegoś siły dają wgląd w przyszłość. W 2002 roku Raczak zrobił spektakl *Łatwe umieranie*. Scenariusz przedstawienia rozpoczyna się tak:**

„Kilka lat temu – w 1997 chyba, byłem wtedy jeszcze dyrektorem w Teatrze Polskim w Poznaniu – zderzyłem się na ulicy z posłem L. z narodowo-religijnej prawicy. Przywitaliśmy się grzecznie, dając wzajemnie wyraz

przesądowi, że dobre wychowanie bywa w życiu wartością wyższą niż przekonania. – Obserwuję z życzliwością – powiedział poseł – pańskie, daremne niestety, wysiłki ożywienia teatru. Myślę, że rozwiązanie problemu jest proste: należy Teatr Polski sprywatyzować w celu urządzenia tam eleganckiej restauracji z atrakcyjnym programem artystycznym.

Jako człowiek dobrze wychowany nie mogłem odpowiedzieć człowiekowi wysoce kulturalnemu, co o tym myślę. Odpowiedź wymagałaby bowiem wyłącznie słów uważanych za wulgarne. Więc idea posła L. pozostała bez odpowiedzi w moim chorym sercu i tkwi w mej robaczywej wyobraźni jak drzazga do dziś...”.

Nie wiem, czy ta drzazga w wyobraźni Raczaka tkwi nadal, ale to, co wydawało się propozycją, na jaką Raczak mógł odpowiedzieć wyłącznie za pomocą „słów uważanych za wulgarne”, właśnie zdaje się oblekać w ciało. Dzieje się to wcale nie za sprawą przysłówowych „prawicowych radnych”, a raczej dyrektora kojarzonego z lewicą (choć głosował na Dudę i tego nie żałuję). Nikt co prawda nie sprywatyzował Teatru Polskiego, ale najnowsza premiera „wyłącznie dla dorosłych” bliska jest wizji ze spektaklu Raczaka, którego akcja zaplanowana była właśnie na wznętrz Teatru Polskiego (nigdy spektakl tam nie został zagrany): „Wzdłuż sali teatralnej, od sceny prawie do balkonu, szeroki na dwa metry podest; jego wysokość powinna niewiele przekraczać poziom głów siedzących widzów. Podest ograniczony jest od strony balkonu futryną z drzwiami. Niedaleko drzwi – dwa restauracyjne stoły z kwadratowymi blatami, zestawione razem. Obok kilka krzeseł. Na stołach opróżnione butelki, szklanki i kieliszki”. Raczak jest człowiekiem z wizją; nowa dyrekcja na razie działa na nieco mniejszą skalę, uruchamiając Piwnicę pod Sceną, lecz przestrzeń wewnątrz niej jest dość podobna – wejście przez bar, w którym serwowane są napoje oraz ostrzygi (nie wyłożone na kruszonym lodzie, więc potencjalnie niebezpieczne); we właściwej sali – niski i mały podest sceny, obok niego kilka stolików, dalej ustawione amfiteatralnie trzy rzędy foteli i krzeseł. Ni to przestrzeń knajpiana, ni to widownia, ciasnota raczej nie pozwala poruszać się swobodnie, więc widowie, podobnie jak na zwykłych spektaklach, są raczej zablokowani na swoich miejscach. Wchodzących wita widok aktorów w niekompletnych i ekstrawaganckich strojach oraz duża tapeta na ścianie przedstawiająca coś na kształt wypiętych pośladków z podpisem: *Come in and find out*. No więc weszliśmy między krzeseła i, jak przypuszczam, dane nam będzie dowiedzieć się wszystkiego. Dalej też było prawie jak u Raczaka: „Zalóżmy więc, że spełniło się marzenie pana posła. Teatr Polski w Poznaniu jest knajpą z programem rozrywkowym godnym burdelu najwyższej klasy. Dominuje w tym wnętrzu tak zwana »nowa klasa średnia«, faceci, o których politycy – w zależności od opcji, od prawej do lewej – mawiają, że są przyszłością Narodu, Kraju, Społeczeństwa”. Ta wciąż nowa klasa średnia (bo raczej tylko ją stać będzie na bilet za 100 złotych) pod koniec *Extravaganzy*... poczuwszy się dobrze ze sobą (co proponowano w informacji o spektaklu-przystawce, jak o nim w wywiadzie mówił Maciej Nowak) spełniła swoje marzenia w ciele i słowie (lub też, jak proponuje zapowiedź: „na powrót odzyskała zdolność do nieskrępowanego fantazjowania na temat otaczającej nas rzeczywistości”) i nieco rozluźniona nie tyle artystyczną atmosferą, co apitkami, zaczęła sama performować, tworząc konkurencję, na szczęście dość skromną, dla aktorów.

*Extravaganza o miłości* jest niewątpliwie pozycją ekstrawagancką, a cel jej powstania jest jasny – prowokowanie. „Czy w teatrze finansowanym z naszych podatków można sobie pozwalać na wszystko? Co na to ojcowie miasta? Gdzie jest Policja? Czyżby Straż Miejska znowu była bezradna?” – taki komunikat już przed premierą wysyłali twórcy. Poznań i poznaniacy zostali przez twórców spektaklu obsadzeni w roli strasznych mieszczan, *petite bourgeoisie*, których jak wiadomo artysta musi epatować, by wytrącić ich z ich małej stabilizacji. Jest to kontynuacja linii wyznaczonej przez Macieja Nowaka. Nieustannie możemy o sobie przeczytać w wywiadach udzielanych przez zastępcę dyrektora do spraw artystycznych, jacy to jesteśmy i jak to nie da nam spokoju. W tym budowaniu obrazu miasta nie przeszkadza mu wcale rzeczywistość. Lepiej nie dostrzegać, że obecnie Poznań jest nie tylko miastem, w którym nie dopuszczono do prezentacji *Golgota Pienic*, ale także takim, w którym wybory prezydenckie wygrał najmniej konserwatywny kandydat, nikt nie domaga się zwinięcia tęczyowych flag na manifestacjach KOD-u a przedstawiciele środowisk LGBT przemawiają na wiecach i dostają oklaski. Owszem, jest to miejsce dalekie od ideału, miejsce, w którym dzieje się obrzydliwe rzeczy, ale może warto czasem je dostrzec w sposób mniej jednoznaczny, a nie wciąż propagować własny jego obraz, by móc potem z zacieklnością się z nim rozprawiać. Ustawiając poznaniaków w roli „trudnych i konserwatywnych” Nowak – może nieświadomie – próbuje unieszkodliwić tych, którzy mogliby krytykować jego linię artystyczną w myśl: „krytykują, bo naruszyłem w konserwatywnym mieście jakieś tabu i dlatego się nie podoba, bo się oburzają”. Niemniej zaryzykuję dostanie się w szeregi mieszczańskie konserwy i powiem otwarcie – *Extravaganza*... śmiertelnie mnie znudziła. Nie oburzyły żadne grube teksty, nie poczułam się dotknięta strojami, słowami, tematami. Podsumować ją mogę natomiast, jak na porządną mieszczkę przystało, parafrazą kwestii Michela Yorka z filmu *Cabaret* Boba Fosse'a: „Było to równie *fatale*, jak herbata z miętą po obiedzie”.

Skojarzenie z filmem Fosse'a pojawiło się samo, kiedy popatrzyłam na wiszące w przejściu nierówne lustro, w którym co jakiś czas odbijały się oblicza aktorów. Kto zna film, ten pamięta twarz Joela Greya w piosence go otwierającej. To skojarzenie uświadomiło mi z całą wyrazistością, dlaczego tak nudziłam się w Piwnicy pod Sceną. Twórcy, świadomie bądź nie, w swoich zapowiedziach przywołali treści z tamtej piosenki, niestety nie miały one pokrycia – zamiast lekkości i czegoś, co można by nazwać erotyczną atmosferą, zaserwowano bardzo długie numery, które męczyły dosłownością. Autorzy Joanna Drozda, Jędrzej Burszta i Wojciech Kaniewski na początek postanowili dokształcić widzów i wyjaśnić ustami aktorów, czym jest *extravaganza* jako gatunek teatralny. Postacie o dość podejrzanej aparycji, niczym przybysze z pogranicza piekła i kabaretu, wyjaśniały, na czym polega takie widowisko i czego możemy się w nim i po nim spodziewać. Uzbrojeni w taką wiedzę już wiedzieliśmy, że będą tam elementy rewii, pantomimy, baletu, a nawet cyrku. Niestety były to wyłącznie zapowiedzi na wyrost. Zamiast takiego miks gatunków pojawiały się na scenie dość typowe numery: monologi bądź dialogi wsparte piosenkami. Ich prowokacyjność leżała raczej w dość bezpośrednio przedstawianej tematyce seksualnej na czele z monologiem Przemysława Chojęty o rozkoszach seksu homoseksualnego czy instrukcji obsługi lechtaczki w wykonaniu Kornelii Trawkowskiej albo autoironicznej piosenki aktorek, w której przypuszczają, że będą miały sobie penisy doprawić, bo inaczej dyrektor ich nie zerznie. Dosłowność takiego rozprawiania o sprawach seksu po jakimś czasie rąbała się męcząca; zamiast sugestii, budującej jakiś erotyczny klimat, zaofierowano rąbankę dokładnych opisów. Potem jeszcze dla odmiany męska część obsady jako narodowcy wyrażała uchodźcom, że nie pozwolą polskich łasek obracać, bo od tego są oni. Wszelkie klimaty erotyczne, jakie pojawiały się w spektaklu, prezentowały ten sam mało wysublimowany rodzaj humoru i operowały takim samym mało subtelnym (używając eufemizmu) słownictwem. W efekcie najbardziej niejednoznacznym i finezyjnym elementem było rzeczywiste *strip* w celu *tease* w wykonaniu Sylwii Achu.

Tytułowa miłość została w tym spektaklu sprowadzona do jednego jej wymiaru – fizycznego, a na dodatek prezentowanego w prymitywny sposób. Ponieważ każda ze scen była bardzo rozciągnięta w czasie, tak jakby twórcy uważali, że na widowni siedzą ćwierćmózgi, których krew zasilą aktualnie zupełnie inne rejony ciała, więc trzeba im klarować, o co chodzi, mocno, wyraźnie, prosto i długo, całości robila nużąco monotonne wrażenie (spektakl trwał dwie i pół godziny). W efekcie humor tego przedstawienia był przyćmawiony, a jeśli ktoś w takim nie gustuje, trudno mu było znaleźć dla siebie coś odmiennego.

Poza „miłością” pojawiła się w nim mityczna (i jakże stereotypowa) poznańskość, uosobiona przez rodzinę z obsesją sprzątania. W piosence o środkach czystości głównym nośnikiem komizmu był Jakub Papuga przebrany za kobietę. Papuga jako kobieta z brodą pojawiał się jeszcze kilka razy, w tym jednej z inteligentniejszych dzięki swej poincnie piosenek wieczoru. Jest ona przykładem połączenia wątku poznańskiego z seksualnym, ponieważ dotyczyła niesławnej radnej, która położyła na pewien czas kres pożyciu pary osłów w zoo. Tak właśnie toczyła się całość: jakiś numerki o seksie, potem coś kąśliwego (aczkolwiek płaskiego) o Poznaniu no i trochę o polityce (też z podtekstem seksualnym). Konteksty i podteksty były z poziomu gimnasty – jak pojawiała się premier Szydło, to w słynnej garsonce z równie słynną broszką, tyle że przypiętą w miejscu rozporka. Będąc na *Extravaganzy*... niejako w pracy, nie byłam w stanie pobrać w barze takiej ilości alkoholu, by zaczęło mnie to śmieszyć (mimo iż za premier nie przepadam).

Przed całkowitą żenadą ratowali spektakl wykonawcy – zarówno muzycy, jak i aktorzy. Było w nim kilka kpiarsko-śmiesznych momentów, jak na przykład w scenie, kiedy Wiesław Zanowicz grał Andrzeja Seweryna namawiającego Małgorzatę Musierowicz, by wyraziła zgodę na wystawienie jej *Lazariady* w Comédie-Française. Zanowicz genialnie podrabiał charakterystyczny sposób mówienia i gestykulację Seweryna, tak że patrząc z ostatniego rzędu można by ich rzeczywiście pomylić. Tą postacią, która nie miała żadnej chybionej scenki, była Agnieszka Findysz. Jej monologi o wizytach w poznańskich centrach handlowych oraz śpiewana z Papugą piosenka, której głównym elementem było wymienienie **wszystkich** sklepów jednego z *shopping malli*, choć literacko prezentujące ten sam co erotyczne scenki, dość prosty poziom, dawały jej szansę na stworzenie pełnowymiarowej postaci „tipsiary”. Autentycznie zabawny, ironiczny był także monolog Papugi o próbach dostosowania się do wymogów rządowego programu 500+.

Był w spektaklu także jeden moment wybitnie „żenadny”, niestety w wykonaniu bardzo dobrego aktora Piotra Kaźmierczaka. Wyszedł on przed widzów, oświadczając, że w tym miejscu miał wygłosić monolog z Dostojewskiego, ale reżyserka zmieniła zdanie i zamiast niego ma odczytać co innego. Tym czymś było – w zamyśle pewnie ironiczne – podziękowanie chłopca za to, że w arkana miłości wprowadzały go dwóch Maistrzów/Mistrzów. Tekst ten sprawiał wrażenie, jakby rzeczywistość został wepchnięty w spektakl w ostatniej chwili, bo trudno mi uwierzyć, że przemysławszy sprawę, można coś takiego zrobić.

*Extravaganza*... na pewno będzie sukcesem. Niewątpliwie znajdzie się ktoś, kto poczuje się obrażony i wywoła lud na barykady. A wtedy będziemy mieli potwierdzenie, że Poznań to takie truudne miasto. Póki co: Hey, Big Spender, pamiętaj – w barze płacimy tylko gotówką. A jak przeholujesz ze sztuką, zostanie jutro rano łatwe umieranie.

4-03-2016

Teatr Polski w Poznaniu  
Joanna Drozda, Jędrzej Burszta, Wojciech Kaniewski  
**Extravaganza o miłości**  
reżyseria: Joanna Drozda  
scenografia i kostiumy: Robert Karger  
muzyka i aranżacje: Michał Łaszewicz  
ruch sceniczny: Justyna Białowłaj  
obsada: Sylwia Achu, Agnieszka Findysz, Kornelia Trawkowska, Elżbieta Węgrzyn, Przemysław Chojęta, Andrzej Iwanowski, Piotr Kaźmierczak, Arkadiusz Kowalski, Michał Łaszewicz, Jakub Papuga, Piotr Trojanowski, Wiesław Zanowicz  
premiera: 12.02.2016

TAGI: Joanna Drozda, Jędrzej Burszta, Wojciech Kaniewski, Poznań, Teatr Poruszenia, [Udostępnij](#)

SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

**Abypotwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania: siedem minus cztery jako liczbę:

KOMENTARZE (3)

**Andrzej** | 2017-03-04 01:40:46 [Cytuj](#)

Szanowna Pani, chyba nie wie Pani i czy było to przedstawienie

**No cóż** | 2016-11-06 10:14:36 [Cytuj](#)

Myślałam, że będzie lekko, dowcipnie i erotycznie. Porażka. Spektakl rodem z GW. Atmosfera jak z pokoju w którym ktoś puścił baka. Nudno. Numer o chłopcu Kaźmierczaka nasuwał myśl, że w tym teatrze w roli maestro pelni wobec aktorów sam dyrektor teatru. Szkoda kasy. Wieczór do dupy

**I** | 2016-10-23 01:58:42 [Cytuj](#)

REDAKCJA | PATRONATY | PARTNERZY | WSPÓŁPRACA | SZKOŁA | REGULAMIN | KONTAKT | RSS

ALL RIGHTS RESERVED TEATRALNY.PL